

ROZDZIAŁ 1

Wysoko, na wieżach pałaców Vecchio i Bargello, płonęły pochodnie. Nieco dalej na północ kilka latarni rozświetlało migoczącym blaskiem plac przed katedrą. Inne rzucały poświatę wzdłuż nabrzeża rzeki Arno. Choć było już późno - większość mieszkańców miasta udawała się na spoczynek wraz z zapadnięciem nocy - w spowijającym brzeg rzeki mroku można było dostrzec kilku żeglarzy i dokerów. Żeglarze, uwijając się wciąż przy swoich statkach i łodziach, kończyli pospiesznie naprawy takielunku i zwijali liny, układając je starannie na ciemnych, wyszorowanych pokładach. Dokerzy spieszyli się z rozładunkiem i przenoszeniem towarów do pobliskich, dobrze zabezpieczonych magazynów.

Światła migotały też w oknach tawern i domów publicznych, ale po ulicach poruszało się już naprawdę niewiele osób. Upływał siódmy rok od czasu, kiedy władcą miasta został wybrany dwudziestoletni wówczas Lorenzo Medici; jego rządy przywróciły ład, przynajmniej z pozoru, i w pewnym stopniu uspokoiły zaciętą rywalizację między rodami bankierów i kupców, dzięki którym Florencja stała się jednym z najbogatszych miast świata. Mimo to nigdy nie przestała wrzeć, a czasem nawet kipieć - każda grupa interesów nieustannie dążyła do kontroli nad innymi; niektóre z nich zmieniały sprzymierzeńców, inne pozostawały odwiecznymi i nieprzejednanymi wrogami.

Nawet podczas wiosennych wieczorów, gdy słodki zapach jaśminu i odpowiedni kierunek wiatru pozwalał zapomnieć o odorze rzeki Arno, Florencja roku Pańskiego 1476 nie była najbezpieczniejszym miejscem do przebywania poza domem, szczególnie po zachodzie słońca.

Na niebie, które przybrało kobaltowy kolor, zawisł już księżyc, przyćmiewając swoją jasnością rój towarzyszących mu gwiazd. Jego światło padało na plac, który z północnym brzegiem Arno łączył Ponte Vecchio i jego tętniące życiem sklepy, teraz ciemne i ciche. To samo światło spływało po kształtach odzianej w czerń sylwetki, stojącej na dachu kościoła Santo Stefano al Ponte. Był to człowiek młody, zaledwie siedemnastolatek, o wyniosłej posturze. Lustrując uważnym spojrzeniem obszar rozciągający się pod jego stopami, uniosł rękę do ust i zagwizdał, cicho, lecz przenikliwie. Potem pa-trzył, jak w odpowiedzi na jego gwizd z ciemnych uliczek i spod sklepionych przejść wyłania się na plac najpierw jeden, później trzech, po chwili już tuzin, a ostatecznie co najmniej dwudziestu mężczyzn, młodych jak on, w większości w czerni; niektórzy mieli krwistoczerwone, zielone bądź błękitne kaptury lub kapelusze, za to wszyscy - miecze i sztylety przy pasach. Już po chwili na placu w promienistym szyku stała grupa groźnie wyglądających młodzieńców, których sposób poruszania się zdradzał wielką pewność siebie.

Młody człowiek spojrzął z dachu na pełne zapału twarze, które wpatrywały się w niego, rozświetlone bladą poświatą księżycy. W geście prowokującego pozdrowienia wzniosł wysoko zaciśniętą pięść.

- Zawsze razem! - wykrzyknął, a oni, również unosząc

swe pięści, w których część z nich już zaciskała broń, odpowiedzieli:

- Razem!

Młodzieniec kocimi ruchami zszedł z dachu po niewykończonej fasadzie kościoła, a gdy znalazł się nad jego portykiem,

zeskoczył i z peleryną powiewającą jeszcze w powietrzu, wylądował w miękkim przysiadzie pośrodku zgromadzenia. Mężczyźni otoczyli go wyczekując.

- Cisza, przyjaciele! - wyciągnął w górę dłoń, powstrzymując ostatni, samotny okrzyk, po czym uśmiechnął się ponuro. - Czy wiecie, w jakim celu wezwałem tu was, moich

najbliższych sojuszników? Chcę was prosić o pomoc. Już nazbyt długo milczałem, podczas gdy nasz wróg - wiecie, kogo mam na myśli? - Vieri Pazzi, szkalował w tym mieście moją rodzinę, szargając nieustannie jej dobre imię i próbując w ten żałosny sposób nas poniżyć. Zwykle nie pochylam się nawet, by kopnąć takiego parszywego kundla, ale...

Przerwał mu wielki, wyszczerbiony kamień, który, rzucony od strony mostu, wylądował tuż u jego stóp.

- Starczy już tych bzdur, *grullo* - odezwał się jakiś głos.

Młodzieniec wespół ze swoimi towarzyszami w jednej chwili skierował swój w kierunku, z którego dobiegły te słowa. Wiedział już, kto je wypowiedział. Przechodząc przez most od południa, zbliżała się do niego grupa młodych mężczyzn. Na czele dumnie kroczył jej przywódca w czerwonej, narzuconej na ciemny, aksamitny kostium pelerynie, zapiętej klamrą z godłem, na którego błękitnym tle widniały złote delfiny i krzyże; jego ręka spoczywała na rękojeści miecza. Był to całkiem przystojny mężczyzna, którego szpecił jedynie ostry zarys ust i cofnięty podbródek. Mimo że sprawiał wrażenie lekko otyłego, nikt nie mógł wątpić w siłę jego ramion i nóg.

- *Buona sera*, Vieri - powiedział spokojnie młodzieniec. - Właśnie o tobie mówiliśmy.

Skłonił się w geście przesadzonej uprzejmości, przybierając wyraz zaskoczenia na twarzy:

- Musisz mi jednak wybaczyć. Nie spodziewaliśmy się tutaj ciebie we własnej osobie. Zawsze myślałem, że Pazzi wynajmują innych, by odwalali za nich brudną robotę.

Vieri zbliżył się nieco i wyprostował, zatrzymując się ze swoimi towarzyszami w odległości kilkunastu kroków.

- Ezio Auditore! Ty wychuchany mały szczeniaku! To raczej twoja rodzinka gryzipiórków i księgowych biega do strażników za każdym razem, gdy pojawi się choćby cień najmniejszego problemu. *Codardo!*- ścisnął rękojeść swojego miecza. - Boisz się brać sprawy w swoje ręce!

- Cóż mogę rzec, Vieri, *cicdone*... Ostatni raz, gdy widziałem się z Violą, twoją siostrą, była całkiem zadowolona, że wzięłem ją w swoje ręce.

Ezio Auditore obdarzył swojego wroga szerokim uśmiechem, zadowolony z chichotu, jaki wzbudził u stojących za jego plecami kompanów.

Wiedział jednak, że posunął się za daleko. Vieri od razu poczerwieniał z wściekłości.

- Starczy już tego, Ezio, kutasie! Zobaczmy, czy walczysz tak dobrze jak papłasz!

Vieri, podnosząc miecz, odwrócił się do swoich ludzi.

- Zabić tych skurwieli! - ryknął.

W tej samej chwili powietrze przeciął kolejny kamień, lecz tym razem nie został rzucony jako wyzwanie. Mimo że chybił celu, udało mu się musnąć czoło Ezia, na którym pozostała rozcięta skóra i krew. Ezio zrobił kilka chwiejnych kroków do tyłu, a z rąk ludzi Vieriego posypał się w jego kierunku grad kamieni. Kompani Ezia ledwo mieli czas, by zebrać się w sobie, gdy banda Pazziego po zbiegnięciu z mostu znalazła się tuż przy nich. Wszystko wydarzyło się tak nagle, że mężczyźni nie zdążyli dobyć mieczy, a nawet sztyletów, więc obie grupy rzuciły się na siebie z gołymi pięściami. Walka była ostra i zacięta - brutalne kopniaki i uderzenia przy nieprzyjemnym akompaniamencie odgłosów łamanych kości. Przez pewien czas żadna ze stron nie zyskała zdecydowanej przewagi. Chwilę potem Ezio przez krew spływającą z czoła ujrzał, jak dwóch spośród jego najlepszych ludzi traci równowagę i upada, prosto pod nogi tratujących ich oprychów Pazziego. Vieri zaśmiał się szyderczo, a ponieważ znalazł się przy Ezio, spróbował zadać mu kolejny cios w głowę ręką uzbrojoną w ciężki kamień. Ezio przysiadł na pośladkach i cios chybił, ale i tak przeszedł zbyt blisko, by ten mógł poczuć się bezpiecznie, w dodatku jego ludzie zbierali teraz najgorsze cięgi. Zanim stanął na nogach, udało mu się w końcu wyszarpnąć zza pasa sztylet i praktycznie na oślep, choć celnie, zanurzyć go w udzie nadciągającego ku niemu z obnażonym mieczem i sztyletem, potężnie zbudowanego zbira z bandy Pazziego. Sztylet Ezia rozciął tkaninę ubrania, zatapiając się w mięśniach i ścięgnach - mężczyzna wydał z siebie rozdzierający wrzask i przewrócił się, rzucając broń i ściskając obiema rękami ranę, z której szerokim strumieniem trysnęła krew.

Ezio zerwał się na nogi i rozejrzał wokół. Zobaczył, że ludzie Pazziego otoczyli jego kompanów, zamykając ich kordonem przy jednej ze ścian kościoła. Poczul, że odzyskuje siły w nogach i skierował się w stronę swoich ludzi. Uchylił się przed przecinającym powietrze ostrzem miecza kolejnego poplecznika Pazziego i zdołał wpakować swoją pięść w jego nieogoloną twarz; z satysfakcją ujrzał, jak ze szczęki swojego niedoszłego zabójcy wylatują zęby i jak upada na kolana, ogłuszony ciosem. Krzyknął do swoich ludzi, by podnieść ich na duchu, ale po prawdzie myślał przede wszystkim o tym, jakby tu czmychnąć w możliwie najbardziej honorowy sposób. Usłyszał wtedy przebijający się przez zgłębki walki donośny, jowialny i znajomy głos, który dobiegł z tyłów bandy Pazziego.

- Hej, *fratellino*, co ty tu u diabła wyprawiasz?

Serce Ezia zabiło z wyraźną ulgą.

- Hej, Federico! Co ty tu robisz? Myślałem, że będziesz dziś, jak zwykle zresztą, balował na mieście!

- Bzdury! Wiedziałem, że coś planujesz, więc pomyślałem sobie, że przyjdę sprawdzić, czy mój mały braciszek nauczył się w końcu radzić sobie sam. Ale chyba potrzebujesz jeszcze jednej lekcji, a może nawet i dwóch!

Federico Auditore, starszy od Ezia o kilka lat i najstarszy z rodzeństwa Auditorich, był wielkim mężczyzną z wielkim apetytem - lubił sobie wypić, lubił się kochać i lubił się bić. Do walki włączył się, gdy jeszcze mówił, od razu rozbijając o siebie dwie głowy oprychów z bandy Pazziego i podnosząc wysoko stopę na spotkanie ze szczęką trzeciego. Przeszedł pewnym krokiem przez chmurę walczących mężczyzn, by stanąć u boku brata, sprawiając wrażenie obojętnego na otaczającą go przemoc. Zachęceni widokiem obu braci kompani

Ezia podwoili swoje wysiłki. Ludzie Pazziego byli zaś skonsternowani: robotnicy na nabrzeżu zgromadzili się w bezpiecznej odległości i przyglądali się bijatyce, a ci w półmroku

wzięli ich za posiłki Auditorich. To, jak również ryki Federica, jego zwinne, mocne pięści i jego poczynania, od razu podchwycone przez szybko uczącego się Ezia, rychło zasiały panikę w ich szeregach.

Nad ogólnym zgiełkiem zabrzmiał wściekły głos Vieriego Pazziego.

- Wycofujemy się! - zawołał do swoich ludzi wysilonym i pełnym złości głosem.

Spojrzał na Ezia i warknął, rzucając pod jego adresem jakąś niezrozumiałą groźbę, po czym rozplątał się w mroku Ponte Vecchio. Za nim podążyli ci z jego kompanów, którzy mogli jeszcze chodzić, ścigani w dodatku przez tryumfujących już teraz sprzymierzeńców Ezia.

Ezio chciał do nich dołączyć, ale powstrzymała go silna ręka brata.

- Chwileczkę! - powiedział.

- O co ci chodzi? Dopiero teraz ich mamy!

- Uspokój się - ostudził go Federico i zachmurzył się, delikatnie dotykając skaleczenia na czole Ezia.

- To tylko zadraśnięcie.

- To coś więcej niż tylko zadraśnięcie - powiedział Federico, przybierając poważny wyraz twarzy. - Będzie lepiej, jeśli obejrzy cię lekarz.

Ezio splunął.

- Nie mam czasu na bieganie po lekarzach. Poza tym... nie mam pieniędzy - dodał po chwili z wyraźnym zakłopotaniem.

- No tak... Straciłeś wszystkie na wino i kobiety, nieprawdaż? - Federico uśmiechnął się i przyjacielsko poklepał swojego brata po plecach.

- Cóż, nie uznałbym tego za stratę. Zobacz zresztą, jaki dawałeś mi przykład - roześmiał się Ezio, ale zaraz potem zamilkł. Nagle dotarło do niego, że ból rozsadza mu głowę. - No dobrze, niech będzie ten lekarz. Pewnie nie za bardzo chciałbyś pożyczyć mi kilka *fiorini* ?

Federico poklepał swoją sakiewkę. Nie dobiegł z niej za-den brzęk.

- Problem w tym, że sam jestem teraz bez grosza - powiedział.

Widząc zmieszanie brata, Ezio uśmiechnął się szeroko: - Na cóż więc ty straciłeś swoje pieniądze? Pewnie wydałeś je na msze i odpusty! Federico roześmiał się:

- No dobrze. Tu mnie masz.

Rozejrzał się wkoło. Koniec końców, tylko trzech, może czterech spośród ich ludzi oberwało na tyle poważnie, że nie mogli o własnych siłach zejść z pola bitwy; siedzieli, pojękując trochę z bólu, ale i uśmiechając się półgębkiem. Starcie było ostre, żaden z nich niczego jednak sobie nie złamał. Z drugiej strony, dobre pół tuzina popleczników Pazzięgo leżało na obu łopatkach; w dodatku kilku z nich było dość szykownie odzianych.

- Zobaczmy, czy nasi polegli wrogowie mają się czym

z nami podzielić - zaproponował Federico. - Jesteśmy, w ostatecznym rozrachunku, w większej potrzebie niż oni... Założę się, że nie uda ci się im ulżyć, nie wyrwijąc ich ze snu!

- To się jeszcze okaże! - odparł Ezio i zabrał się do dzieła.

Udało mu się. Po kilku minutach zebrał wystarczająco dużo złotych monet, by wypełnić sakiewkę swoją i brata. Spojrzał na niego triumfalnie i brzęknął woreczkiem, by podkreślić swój sukces.

- Wystarczy- zawołał Federico. - Lepiej zostawmy im trochę, żeby mogli dowlec się do domu. W końcu nie jesteśmy złodziejami - to po prostu nasz wojenny łup. I naprawdę nie podoba mi się ta twoja rana. Musimy czym prędzej pokazać ją lekarzowi.

Ezio skinął głową i odwrócił się, by raz jeszcze, na koniec, omieść wzrokiem miejsce zwycięstwa Auditorich. Tracąc powoli cierpliwość, Federico położył dłoń na ramieniu młodszego brata.

- No, chodź już - powiedział i bez dalszych ceregieli ruszył tak żwawo, że wycieńczonemu walką Eziowi trudno było dotrzymać mu kroku. Jednak gdy Ezio pozostawał zbyt daleko w tyle lub gdy skręcał w niewłaściwą uliczkę, Federico zatrzymywał się, a nawet podbiegał pospiesznie do brata i stawiał go do pionu.

- Przykro mi, Ezio. Po prostu zależy mi na jak najszybszej wizycie u *medico*.

W rzeczy samej, lekarz nie mieszkał daleko, a Ezio słał z minuty na minutę. W końcu weszli do mrocznego pomieszczenia, przyozdobionego tajemniczymi instrumentami, mosiężnymi naczyniami i szklanymi fiolkami, ustawionymi na ciemnych, dębowych stołach i zwisającymi z sufitu, spomiędzy wiązek zasuszonych ziół. Właśnie tu przyjmował pacjentów ich rodzinny lekarz. Ezio już ledwo trzymał się na nogach.

Dottore Ceresa nie był zachwycony pobudką w środku nocy, ale zmienił nastawienie, gdy zbliżywszy świeczkę do rany Ezia, dokładnie ją obejrzał.

- Hm... - westchnął z powagą w głosie. - Tym razem na-

prawdę nieźle się urządziłeś, młody człowieku. Czy wy, młodzi, nie macie lepszych zajęć, niż bieganie za sobą i pranie się

na miazgę?

- To była kwestia honoru, *dottore* - wtrącił Federico.

- Ach, rozumiem... - odpowiedział obojętnym tonem lekarz.

- To naprawdę nic takiego - powiedział Ezio, choć zrobiło mu się słabo.

Federico jak zwykle skrywał troskę pod zastoną humoru.

- Połataj go najlepiej, jak tylko potrafisz, przyjacielu. Ta piękna buźka to jego jedyny atut.
- Ejże! *Fottiti!* - odparował Ezio, pokazując bratu palec.

Lekarz zignorował przekomarzanie się braci, umył ręce,

z badał delikatnie ranę i z jednej z wielu flaszek wylał na kawałek płótna jakiś bezbarwny płyn. Dotknął nim rany, co zapiekło tak, że Ezio mało nie wystrzelił z krzesła z twarzą skrzywioną w bolesnym grymasie. Potem, upewniwszy się, że rana jest czysta, ujął w palce igłę i nawłókł ją cienką katgutową nicią.

- Teraz uważaj - powiedział do Ezia - to naprawdę będzie bolało, ale na szczęście krótko.

Gdy szwy były już gotowe, a rana zabandażowana, tak że Ezio przypominał Turka w turbanie, *dottore* uśmiechnął się, dodając im otuchy

- To będzie trzy *fiorini*, jak na razie. Przyjdę do waszego *palazzo* za parę dni i zdejmę szwy Zapłacisz mi wtedy kolejne trzy Nawiedzi cię okropny ból głowy, ale to przejdzie. Po prostu postaraj się wypocząć - jeśli w ogóle coś takiego jest w twoim przypadku możliwe! I nie przejmuj się: rana wygląda na gorszą niż jest w rzeczywistości, w dodatku nie powinna pozostawić większej blizny; kobiety nie będą więc jakoś bardzo rozczarowane.

Gdy mężczyźni znaleźli się z powrotem na ulicy, Federico objął ramieniem swojego młodszego brata. Wydobył skądś flaszkę i podał ją Eziowi.

- Nie martw się - powiedział, widząc wyraz twarzy brata. - To najlepsza grappa naszego ojca. Lepsza niż mleko matki, szczególnie w twoim stanie.

Napili się obaj i poczuli, jak ów mocny trunek rozgrzewa ich wnętrza.

- Niezła noc - stwierdził Federico.
- To prawda. Chciałbym, żeby wszystkie były takie... -

Ezio przerwał, bo zobaczył, jak jego brat uśmiecha się od ucha do ucha. - Nie, czekaj! - poprawił się, śmiejąc się w głos. - Przecież wszystkie takie właśnie są!

- Mimo wszystko wydaje mi się, że przed powrotem do domu niegłupio byłoby coś przekąsić i czegoś się napić - stanęlibyśmy na nogi - powiedział Federico. - Późno już, wiem, ale tu w pobliżu jest tawerna czynna do samego rana, w dodatku...

- .. w dodatku ty i *oste* jesteście *amid intimi*, tak?
- Jak na to wpadłeś?

Jakąś godzinę później, po posiłku z *ribolitta* i *bistecca*, popitych butelką brunello, Ezio zapomniał, że w ogóle jest zraniony. Był młody i zdrowy, więc dość szybko poczuł, że cała energia, którą stracił, z

powrotem napływa do jego ciała. Adrenalina, którą wywołało zwycięstwo nad bandą Pazziego, z pewnością pomogła mu szybko dojść do siebie.

- Czas wracać do domu, braciszku - powiedział Federico. - Ojciec na pewno zastanawia się, gdzie jesteśmy Liczy, że w przyszłości pomożesz mu prowadzić bank. Na moje szczęście nie mam głowy do liczb - pewnie dlatego już nie może się doczekać, kiedy wciągnie mnie do polityki.

- To cały ty: polityka albo cyrk.

- A co za różnica?

Ezio wiedział, że Federico nie żywi do niego żadnej urazy z powodu tego, iż ojciec chce powierzyć prowadzenie większości rodzinnych interesów jemu, a nie starszemu z braci. Federico w bankowości zanudziłby się na śmierć. Problem w tym, że Ezio miał przeczucie, iż z nim mogłoby stać się to samo. Lecz teraz, kiedy dzień, w którym przywdzieje czarny, aksamitny kostium i założy złoty łańcuch florenckiego bankiera, był jeszcze dość odległą perspektywą, postanowił w całej pełni korzystać z wolności i braku odpowiedzialności. Nie zdawał sobie jeszcze sprawy, jak szybko minie ten beztroski czas.

- Lepiej się pospieszmy - powiedział Federico - jeśli chcemy uniknąć zrugania.

- Tak, ojciec mógłby się martwić.

- Nie. Wie, że potrafimy o siebie zadbać - Federico spojrział na Ezia wzrokiem, którym dał mu do zrozumienia, że coś chodzi mu po głowie. - Ale lepiej ruszajmy.

Zatrzymał się na chwilę, po czym dodał:

- Nie masz może ochoty na mały zakład? Jakiś wyścig?

- Dokąd?

- Powiedzmy... - Federico spojrział na rozświetlone blaskiem księżycą miasto i zatrzymał wzrok na jednej z pobliskich wieży. - Powiedzmy, że na dach kościoła Santa Trinita. Jeśli oczywiście masz siłę. W dodatku to niedaleko domu.

Z jednym tylko zastrzeżeniem.

- Tak?

- Będziemy się ścigać nie ulicami, lecz po dachach.

Ezio wziął głęboki oddech.

- W porządku. No to już - powiedział.

- Dobra, mały *tartarugo* - start!

Nie mówiąc już nic więcej, Federico ruszył z miejsca i ze zwinnością jaszczurki wspiął się na pobliską otynkowaną ścianę. Na jej szczycie zatrzymał się na chwilę i wydawało się, że stanąwszy pomiędzy czerwonymi, zaokrąglonymi dachówkami, traci równowagę, ale roześmiał się tylko i ruszył dalej.

Zanim Ezio wdrapał się na dach, jego brat był jakieś 20 kroków przed nim. Rzucił się więc w pościg, a wspomnienie niedawnego bólu zmył wywołany nową podniecią zalew adrenaliny. Zobaczył Federica, jak ten daje potężnego susa przez ciemną jak smoła przerwę między budynkami i ląduje miękko na płaskim dachu jednego z szarych palazzo, nieco poniżej poziomu, z którego się wybił. Federico podbiegł potem jeszcze kawałek dalej, po czym zatrzymał się w oczekiwaniu. Ezio poczuł dreszcz strachu, gdy u jego stóp otworzyła się zakończona ulicą ośmiopiętrowa przepaść, wiedział jednak, że raczej się zabije niż zawaha na oczach swojego brata. Zebrał się więc na odwagę, zaufał sobie i oddał długi skok wiary; szybując między budynkami widział twarde, granitowe kocie łby, przesuwane się w poświacie księżycy pod jego młócącymi powietrze stopami. Przez ułamek sekundy zastanawiał się, czy dobrze wszystko obliczył - szara ściana palazzo wydawała się niebezpiecznie wyrastać, zbliżając się ku niemu, lecz chwilę później usunęła się w dół, a on był już na kolejnym dachu; zachwiał się nieco, to prawda, ale zdołał się utrzymać na nogach, uszczęśliwiony, choć zdyszany.

- Braciszek musi się jeszcze sporo nauczyć - zadrwił Federico, znów ruszając przed siebie, jak cień buszujący między kominami na tle nocnego, prawie bezchmurnego nieba.

Ezio rzucił się naprzód i zatracił się w dzikości chwili. Otwierały się pod nim kolejne przepaście, niektóre nad wąskimi przecznicami, inne - nad szerokimi arteriami. Nigdzie nie widział Federica.

Nagle, na horyzoncie, wyrosła przed nim wieża kościoła Santa Trinita, wznosząca się nad czerwoną płaszczyzną łagodnie opadającego dachu świątyni. Gdy zbliżał się do niej, uświadomił sobie, że kościół stoi na środku placu i że odległość dzieląca dach świątyni od dachów sąsiednich budynków jest o wiele większa od tych, które do tej pory przeskakiwał. Postanowił, że teraz nie będzie się już wahał ani niepotrzebnie wytracał szybkości - jedyną nadzieją było to, że dach kościoła znajdował się niżej, niż ten, z którego musiał oddać skok. Jeśli rzuci się w przód z wystarczającym impetem i zdoła się mocno wybić w powietrze, reszty dokona grawitacja. Przez jedną, może dwie sekundy będzie leciał jak ptak. Ezio wyrugował z myśli wszelkie konsekwencje ewentualnego niepowodzenia.

Krawędź dachu, po którym biegł, bardzo szybko się do niego zbliżyła, chwilę później był już w powietrzu. Poszybował w górę słysząc w uszach gwizd powietrza, którego pęd wycisnął mu z oczu łzy. Dach kościoła zdawał się znajdować nieskończenie daleko - nigdy go nie osiągnie, nigdy nie będzie się już śmiał, walczył, trzymał w ramionach kobiety... Nie mógł oddychać. Zamknął tylko oczy i...

Jego ciało zgięło się w pól, próbował złapać równowagę rękami i nogami, na szczęście te w końcu poczuły pod sobą oparcie - zrobił to! Znalazł się co prawda o włos od krawędzi dachu, ale zrobił to - wylądował na dachu kościoła!

Ale gdzie był Federico? Ezio wspiął się na podstawę wieży i odwróciwszy się, spojrzął w kierunku, skąd przybył, w samą porę, by zobaczyć, jak jego brat szybuje właśnie w powietrzu. Federico wylądował w pewny sposób, choć jedna czy dwie dachówki poruszyły się pod nim i mało nie stracił równowagi, gdy ześlizgnęły się po dachu, rozbijając się kilka sekund później o bruk ulicy daleko w dole. Odzyskał ją jednak i stanął wyprostowany, dysząc z wysiłku, ale z szerokim, pełnym dumy uśmiechem na twarzy

- No, może i nie jesteś znów taką *tartarugą* - powiedział, podchodząc do Ezia i klepiąc go po ramieniu. - Minąłeś mnie jak błyskawica.

- Nawet tego nie spostrzegłem - powiedział krótko Ezio, usiłując złapać oddech.

- Dobra, ale we wspinaczce na wieżę mnie nie pokonasz -

odrzekł Federico.

Odsunął Ezia na bok i zaczął wdrapywać się na przysadzistą budowlę, którą ojcowie miasta planowali zastąpić czymś o nowocześniejszej architekturze. Tym razem Federico był pierwszy; musiał nawet podać rękę zranionemu bratu, który powoli skłaniał się ku myśli, że nie od rzeczy byłoby pójść w końcu do łóżka.

Żaden z nich nie mógł złapać tchu i przez chwilę stali w milczeniu, spoglądając na swoje miasto, pogodnie i spokojne w perłowych barwach brzasku.

- Mamy udane życie, mój bracie - powiedział Federico

z nietypową dla siebie podniosłością.

- Najlepsze z możliwych - zgodził się Ezio. -I niech nigdy się to nie zmieni.

Zamilkli - żaden z nich nie chciał, by przysłuchał czar tej chwili -ale po krótkim czasie Federico odezwał się cicho:

- Żeby i nas nic nie zmieniło, fratellino. Chodź, musimy już wracać. Tam widać dach naszego *palazzo*. Mam nadzieję, że ojciec nie spędził całej nocy czekając na nas, bo inaczej nieźle się nam oberwie. Chodźmy!

Ruszył w kierunku krawędzi wieży, by zejść po niej na dach, ale zatrzymał się widząc, że Ezio pozostał na miejscu.

- O co chodzi?

- Poczekaj chwilę.

- Na co patrzysz? - zapytał Federico, dołączając do Ezia.

Powiódł wzrokiem tam, gdzie spoglądał Ezio i od razu na jego twarzy zawitał uśmiech.

- Ty szczywany lisie! Nie myślisz chyba, żeby tam pójść? Daj pospać tej biednej dziewczynie!

- Nie... Zresztą Cristina i tak pewnie już wstała.

Ezio poznał Cristinę Calfucci całkiem niedawno, ale już teraz wydawało się, że nic ich nie rozłączy, choć ich rodzice byli zdania, że są zbyt młodzi, by stworzyć poważny związek. Ezio się z tym nie zgadzał, ale Cristina miała zaledwie siedemnaście lat, a jej rodzice, zanim w ogóle zechcieliby spojrzeć na jej adoratora życzliwszym okiem, oczekiwali, by powściągnął swoje dzikie zwyczaje. Rzecz jasna, to tylko wzmogło jego impulsywność.

Federico i Ezio oddawali się lenistwu na rynku - zakupili właśnie kilka świecidełek z okazji święta patrona swojej siostry i wodzili wzrokiem za pięknymi dziewczynami z miasta, jak wraz ze swoimi *accompagnatrice* przemykały od jednego do drugiego straganu, przyglądając się dokładnie to koronkom, to wstążkom, to belom jedwabiu. Jedna z nich wyraźnie od-stawała od reszty towarzyszek

- miała w sobie więcej piękna i wdzięku niż jakakolwiek inna dziewczyna spośród tych, które Ezio dotychczas widział. Nigdy nie zapomniał owego dnia, dnia, kiedy jego oczy ujrzały ją po raz pierwszy.

- Spójrz - westchnął mimowolnie do Federica. - Jest taka piękna!

- Dlaczego więc nie podejdziesz i się z nią nie przywitasz? - zaproponował jego praktyczny jak zawsze brat.

- Co? - Ezio był w szoku. - A jak już się z nią przywitam, to co potem?

- Spróbuj z nią porozmawiać. Powiedz, co kupiłeś, zapytaj, co ona kupiła... To bez znaczenia. Bo widzisz, mój mały braciszku, większość mężczyzn tak bardzo obawia się pięknych kobiet, że ci, którzy zdobywają się na odwagę i ucinają sobie z nimi pogawędkę, zyskują natychmiastową przewagę. Myślisz, że piękne kobiety nie chcą, by ktoś je dostrzegł?

Myślisz, że nie chcą rozerwać się trochę, rozmawiając z mężczyzną? Oczywiście, że chcą! W dodatku brzydki nie jesteś, no i j e s t e ś Auditore. Więc śmiało - ja tymczasem zajmę się jej przyzwoitką. Ona też, jeśli się jej dobrze przyjrzeć, jest niczego sobie.

Ezio pamiętał, jak pozostawszy sam na sam z Cristina, stanął, jakby mu nogi wrosły w ziemię; zupełnie nie wiedział, co powiedzieć, upojony pięknem jej ciemnych oczu, jej długimi, kasztanowymi włosami, jej delikatnie zadartym noskiem...

Spojrzała na niego.

- O co chodzi?

- To znaczy? - wydusił z siebie.

- Dlaczego tu stoisz?

- Bo... bo chciałem cię o coś zapytać.

- O cóż takiego?

- Jak masz na imię?

Przewróciła oczami. „Cholera - pomyślał Ezio - pewnie słyszy to już któryś raz z rzędu”.

- Nieważne, do niczego ci się ono nie przyda – odparła i ruszyła przed siebie.

Ezio patrzył za nią przez chwilę, po czym rzucił się w jej kierunku.

- Poczekaj! - zawołał, doganiając ją i dysząc bardziej niż po przebiegnięciu mili. - Nie przygotowałem się. Chciałem być czarujący. Uprzejmy. Dowcipny. Daj mi jeszcze jedną szansę!

Spojrzała do tyłu nie zwalniając swojego zdecydowane-go kroku, ale na jej ustach zawiłał bardzo niewyraźny ślad uśmiechu. Ezio był zrozpaczony. Federico, który widział to wszystko, powiedział łagodnym głosem:

- Nie poddawaj się! Widziałem jak się do ciebie uśmiechnęła. Zapamiętała cię!

To podniosło Ezia na duchu. Udał się za nią, przemykając dyskretnie wzdłuż stoisk i starając się, by go nie zauważyła. Trzy, może cztery razy musiał chować się za któryś ze straganów, a potem, gdy opuściła już plac targowy, dać nura w drzwi jednej z mijanych kamienic, ale koniec końców udało mu się dojść za nią praktycznie do wejścia do jej rodzinnej rezydencji, przy której jakiś mężczyzna zagroził jej drogę. Ezio cofnął się.

Cristina popatrzyła na mężczyznę ze złością.

- Mówiłam ci już, Vieri, że mnie nie interesujesz. A teraz mnie przepuść.

Ezio, stojąc w ukryciu, wstrzymał oddech. Vieri Pazzi! No jasne!

- Ale signorina, sęk w tym, że ja jestem zainteresowany tobą. I to bardzo - powiedział Vieri.
- Więc ustaw się w kolejce.

Usiłowała go wyminąć, ale on stanął przed nią.

- To akurat chyba sobie odpuszczę, *amore mio*. Doszedłem do wniosku, że męczy mnie już czekanie, byś z własnej woli rozłożyła przede mną nogi.

Chwyił ją brutalnie za rękę, przyciągnął do siebie i objął ramieniem, gdy tymczasem dziewczyna usiłowała się wyrwać.

- Nie jestem pewien, czy wszystko do ciebie dotarło - powiedział Ezio, który nagle wyszedł z ukrycia i spojrzał Vieriemu prosto w oczy.

- O, szczeniak Auditore. *Cane rognoso!* Co cię to, do cholery, obchodzi! Do diabła z tobą!

- Ach, *buon'giorno, buon'giorno*, Vieri. Przepraszam, że przeszkadzam, ale mam nieodparte wrażenie, że psujesz tej młodej damie dzień.

- Doprawdy? Wybacz, najdroższa, skopię tylko temu parweniuszowi tyłek.

Mówiąc to, Vieri odepchnął na bok Cristinę i rzucił się na Ezia z zaciśniętą prawą pięścią. Ezio z łatwością odparł atak, usuwając się na bok i podstawiając nogę Vieriemu, który z impetem wyłożył się na bruk, wzbijając obłok kurzu.

- Może ci już wystarczy, przyjacielu? - zapytał kpiąco Ezio.

Lecz Vieri zerwał się błyskawicznie na nogi i z wściekłością natarł na Ezia, młóćąc pięściami powietrze. Udało mu się wpakować jedną z nich w szczękę Ezia, lecz ten zdążył uchylić się przed nadciągającym lewym sierpowym i sam zadał dwa ciosy- jeden w brzuch, a potem, gdy Vieri zgiął się wpół, w

szczękę. Potem odwrócił się do Cristiny, by sprawdzić, czy wszystko z nią w porządku. Dysząc ciężko, Vieri wycofał się na chwilę, ale jego dłoń pomknęła ku rękojeści sztyletu. Cristina zauważyła ten ruch; gdy Vieri rzucił się na Ezia, chcąc zatopić w jego plecach ostrze, wydała z siebie mimowolny, alarmujący okrzyk. Słyszając go, Ezio odwrócił się w mgnieniu oka i mocno złapał Vieriego za nadgarstek, pozbawiając go sztyletu, który z brzękiem upadł na bruk. Dwaj młodzieńcy stali twarzą w twarz, ciężko dysząc.

- To wszystko, na co cię stać? - zapytał Ezio przez zaciśnięte w szyderczym uśmiechu zęby.
- Zamknij się, albo - jak Boga kocham - zabiję!

Ezio roześmiał się.

- Z drugiej strony nie powinienem się dziwić, widząc, jak narzucasz się ładnej dziewczynie, która wyraźnie ma cię za skończonego dupka - w końcu twój ojciec też chce narzucić swój bankowy interes Florencji.
- Głupcze! To twój ojciec potrzebuje lekcji pokory!
- Najwyższy czas byście wy, Pazzi, przestali rzucać na nas oszczerstwa. Choć z drugiej strony, mocni jesteście tylko w gębie.

Warga Vieriego dość mocno krwawiła. Wytarł ją rękawem.

- Zapłacisz mi za to. Ty i cała twoja rodzina. Nie zapomnę ci tego, Auditore!

Splunął pod nogi Ezia, schylił się, by podnieść sztylet i odbiegł. Ezio stał przez chwilę i patrzył, jak znika.

Przypomniał sobie to wszystko, gdy stał na dachu kościoła i spoglądał w dal, na dom Cristiny. Przypomniał sobie, jak wielką ogarnęła go radość, gdy odwróciwszy się do Cristiny, dostrzegł w jej oczach ciepło, którym wcześniej nie chciała go obdarzyć.

- Wszystko w porządku, signorina? - zapytał.
- Teraz już tak, dzięki tobie...

Zawahała się, po czym dodała głosem wciąż drżącym ze strachu:

- Pytałeś o moje imię - nazywam się Cristina. Crisitna Calfucci.

Ezio skłonił się przed nią.

- Jestem zaszczycony, że mogłem cię poznać, *signořna*.

Ezio Auditore.

- Znasz tego mężczyznę?
- Vieriego? Nasze drogi już nie raz zdążyły się przeciąć.

Tyle że nasze rodziny nie mają zbyt wielu powodów do wzajemnej sympatii.

- Nie chcę już nigdy go widzieć.
- Jeśli tylko będzie to ode mnie zależało, nie zobaczysz.

Uśmiechnęła się nieśmiało, po czym rzekła:

- Ezio, jestem ci naprawdę wdzięczna, dlatego chcę ci dać drugą szansę, po tej kiepskiej pierwszej odsłonie.

Roześmiała się cicho, pocałowała Ezia w policzek i zniknęła w drzwiach swojego domu.

Niewielkie zbiegowisko, które zawsze powstawało przy tego typu zejściach, nagrodziło Ezia gromkimi oklaskami. Ten skłonił się nisko z uśmiechem na ustach, ale gdy się odwrócił, by odejść, zdał sobie sprawę, że może i zyskał nową znajomość, ale uczynił też sobie nieprzejednanego wroga.

- Pozwól Cristinie pospać - powiedział znowu Federico,

usiłując wyrwać Ezia z zadumy.

- Będzie miała na to czas później - odpowiedział Ezio. - Muszę ją zobaczyć.

- No dobrze, skoro musisz - spróbuję cię jakoś wytłumaczyć przed ojcem. Ale uważaj na siebie - ludzie Vieriego

wciąż mogą się kręcić po okolicy

Federico zszedł z wieży na dach, potem zeskoczył z niego na wóz z sianem, stojący na ulicy prowadzącej do domu.

Ezio patrzył, co robi brat, i postanowił, że zrobi to samo. Wóz z sianem znajdował się co prawda daleko w dole, ale przypomniał sobie, czego go uczono: uspokoił oddech, wy-ciszył się i skoncentrował.

Chwilę potem był już w powietrzu, w najdłuższym skoku swojego życia. Przez krótki moment wydało mu się, że źle ocenił odległość do celu, ale zapanował nad swoją chwilową paniką i wylądował bezpiecznie w sianie. Prawdziwy skok wiary! Lekko zdyszany, Ezio zszedł z wozu na ulicę.

Za wschodnich wzgórz zaczęło widać słońce, ale ulice miasta wciąż były puste. Ezio zamierzał już wyruszyć w kierunku domu Cristiny, gdy usłyszał echo zbliżających się kroków. Szybko rozejrzał się za miejscem, gdzie mógłby się ukryć, po czym zanurkował w ciemnościach przedsionka pobliskiego kościoła i wstrzymał oddech. Zza rogu wyszedł nie kto inny, jak Vieri w towarzystwie dwóch mężczyzn z bandy Pazzich.

- Lepiej dajmy sobie spokój, szefie - powiedział starszy z nich. - Na pewno dawno już sobie poszli.

- Wiem, że gdzieś tu są! - warknął Vieri. - Prawie czuję ich zapach!

Wraz z towarzyszami obeszli dookoła plac, na którym znajdował się kościół, i wyglądało na to, że nie mają zamiaru go opuścić. Wschodzące słońce stopniowo skracало cienie. Ezio ostrożnie wpełzł z powrotem pod siano i leżał w nim przez czas, który zdał mu się wiekiem - tak bardzo chciał już iść. W pewnej chwili Vieri przeszedł tak blisko, że tym razem to Ezio mógł poczuć jego zapach, na szczęście w końcu przywołał swoich ludzi pełnym złości gestem, po czym odeszli. Ezio leżał jeszcze przez chwilę, potem wyszedł i odetchnął z ulgą. Strzepnął z siebie kurz i szybko przebył odległość, jaka dzieliła go od domu Cristiny, modląc się, by nikt się tam jeszcze nie krzątał.

W rezydencji wciąż panowała cisza, choć Ezio przypuszczał, że służący rozniecają już w kuchni ogień. Wiedział za którym oknem znajduje się pokój Cristiny i rzucił w jego okiennice garścią żwiru. Hałas wydał mu się ogłuszający. Serce podeszło mu do gardła. Czekał. Potem okiennice otworzyły się, a na balkonie pojawiła się ona. Przez nocną koszulę przebijały doskonałe kształty jej ciała. Ezio patrzył na nią, rozpalony gwałtownym pożądaniem.

- Kto tam? - zapytała łagodnym głosem.

Cofnął się, by mogła go zobaczyć.

- To ja!

Cristina westchnęła, choć nie było to westchnienie nie-życzliwe.

- Ezio! Mogłam się tego domyślać.

- Mogę do ciebie wyjść, *mia colomba*?

Obejrzała się do tyłu przez ramię, po czym wyszeptwała:

- Dobrze. Ale tylko na minutkę.

- To wszystko, czego mi trzeba.

- Doprawdy? - uśmiechnęła się.

Ezio się zawstydział.

- Nie - wybacz - nie to miałem na myśli... Pozwól, pokażę ci...

Rozglądając się dokoła, by się upewnić, że ulice wciąż są puste, oparł stopę na jednej z wielkich, żelaznych obręczy do przywiązywania koni, zamocowanej w szarym, kamiennym murze domu, i zaczął się wspinać, z łatwością odnajdując w rustykalnej kamieniarce oparcia dla rąk i stóp. W mgnieniu oka przeskoczył przez balustradę i chwycił Cristinę w ramiona.

- Och, Ezio - westchnęła po pocałunku. - Twoja głowa. Cóż robisz tym razem?

- To nic takiego. Ledwie draśnięcie - Ezio przerwał na chwilę, po czym uśmiechnął się. - Skoro tu już wyszedłem, to może wejść?

- Gdzie?

- Do twojej sypialni, oczywiście - odpowiedział z rozbijającą szczerością.
- Dobrze... Skoro uważasz, że minuta to wszystko, czego ci trzeba...

Przeszli w objęciach przez dwuskrzydłowe drzwi wiodące do oświetlonego ciepłym blaskiem pokoju Cristiny.

Godzinę później obudziły ich promienie słońca wpadające przez okna, zgiełk wozów i ludzi dobiegający z ulicy i co gorsza - głos ojca Cristiny, otwierającego drzwi do sypialni.

- Cristina - zawołał głośno - czas wstawać! Twój nauczyciel może zjawić się lada... A cóż to, do diaska? O, ty sukinsynu!

Ezio ucałował Cristinę krótko, lecz namiętnie.

- Czas na mnie, jak sądzę - powiedział, chwytając w biegu swoje ubranie i rzucając się do okna. Zszedł po ścianie i gdy zaczął się ubierać, na balkonie pojawił się Antonio Calfucci.

Był siny z wściekłości.

- *Perdonate, messere* - wybąkał Ezio.
- Ja ci pokażę *perdonate, messere* - wrzasnął Calfucci. - Straże! Straże! Schwytać mi tego *cimice!* Chcę jego głowy! I jego *coglioni!*
- Powiedziałem, że przepraszam... - zaczął Ezio, ale właśnie otworzyły się drzwi do rezydencji, z których wypadli strażnicy Calfuccich z wyciągniętymi mieczami.

Ezio, z grubsza ubrany, rzucił się do ucieczki. Biegając ulicą, wymijał wozy i spychał z drogi przechodniów: bogatych przedsiębiorców w dostojnej czerni, handlowców w brązach i szkarłatach, szarych obywateli w prostych tunikach. W pewnej chwili wpadł nawet w kościelną procesję, i to tak nagle, że mało nie przewrócił figury Maryi Dziewicy, niesionej przez mnichów w czarnych kapturach.

W końcu, po tym jak kilka razy dał nura w boczne uliczki i przeskoczył parę murów, zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać. Nie słyszał już nawet krzyków i przekleństw, jakie stali pod jego adresem potrąceni przechodnie. Jeśli zaś chodzi o strażników, to z pewnością ich zgubił - nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

Chciał tylko wierzyć, że Signor Calfucci go nie rozpoznał. Cristina go nie zdradzi, co to, to nie. Co więcej, mogła swojego ojca owinąć dokoła palca - tak bardzo ją uwielbiał. A nawet jeśli dowiedziałby się, kto był w sypialni jego córki - pomyślał Ezio - nie powinien się martwić, że trafia się jej zła partia. Ojciec Ezia prowadził jeden z największych banków w mieście, który pewnego dnia mógł stać się większy od tego Pazzich, a nawet - kto wie? - Medicich.

Korzystając z bocznych uliczek dostał się do domu. Pierwszą osobą, którą tam spotkał, był Federico, który spojrzał na niego poważnie i złowieszczo pokiwał głową.

- No to się doigrałeś - powiedział. - Tylko mi nie mów, że cię nie ostrzegałem.